

OD REDAKCYI.

Przypominamy koniec kwartału tym, którzy nie uiścili dotąd prenumeraty i prosimy bardzo usilnie o rychłe odnowienie jej na przyszły kwartał

Osoby, które nie uiszczą zaległej prenumeraty do 15 października, zostaną wykreślone z listy abonentów.

Zjednywanie nowych prenumeratorów i nadsyłanie adresów dla rozsyłki numerów okazowych — są konieczne, aby utrwalić byt naszego pisma i usunąć coraz cięższe do zwalczania deficyty. Przypominamy to bardzo gorąco przyjaciołom „Nowego Słowa“ i sprawy, o którą walczymy. *Redakcya.*

WALKA IDEI.

I.

Prawo i sprawiedliwość.

Walka klas, pomimo brutalnego ścierania się samolubnych instynktów, dla osiągnięcia jaknajwiększej materyalnej korzyści, obserwowana jako zjawisko społeczne, wyraża się dążeniem do zrównania antagonizmów klasowych, przez postawienie Sprawiedliwości na miejsce przywilejów dla stworzenia Harmonii społecznej.

Walka płci, w imię tejże sprawiedliwości, budzi w ujarzmionej przez długie stulecia kobiecie, instynkt wolności i popycha ją do zmagania się z mężczyzną, broniącym swego uprzywilejowanego stanowiska — dla osiągnięcia pełnego rozwoju swej indywidualności. A ostateczny cel tej walki: stworzenie harmonii w Miłości dwojga wolnych i równych sobie ludzi.

Zarówno jednak walka klas jak i walka płci, są zjawiskiem przejawiającem, powierzchowną, zewnętrzną stronę życia człowieka. Istotę jego — stanowi Walka Idei.

One tworzą środowisko, stanowiące o mniej lub więcej pomyślnym rozwoju Indywidualności człowieka, która właściwie jest jedynym istotnym celem jego życia.

Pożywienie, mieszkanie, odzienie, wykarmienie potomstwa — o które

toczy się tzw. walka o byt, są tylko gruntem, na którym byt człowieka wyrasta, jak drzewo wyrasta z ziemi, ale nie są one celem życia, jak grunt nie jest celem drzewa. Drzewo rośnie, aby wydało owoce. Owocami człowieka są jego dzieła — jego Idee.

Biada społeczeństwu, którego jednostki wszystkie siły swoje zużywają tylko na wytworzenie środowiska dla wyżywienia siebie i potomstwa. Bezpłodnem ono będzie i grunt jego jałowym, choćby ogromna ilość nowych istnień rodziła się na nim. Bo Człowieka stanowi nie środowisko, które go żywi, tylko dzieło jego — Idea — jaka go ożywia.

Jeżeli walka klas zniosła feudalizm i niewolę — jeżeli walka płci niweczy duchowe i fizyczne poddaństwo kobiety — są to tylko zwycięskie zapasy o zdobycie środowiska, terenu, na którym w całej pełni zawrzećby mogła, ta jedyna godna człowieka walka, walka Idei, dla wyswobodzenia w człowieku Wolnego Ducha.

Walka ta, wyróżniająca człowieka od wszelkiego innego żywego stworzenia, które zna tylko walkę o byt, toczy się od początku istnienia jego na ziemi — i nie skończy się zapewne, aż go na wyższy szczebel istnienia wyprowadzi. Przybierała ona najróżnorodniejsze formy, ścierały się w niej: zabobon z mądrością — miłość z samolubstwem — obłuda z moralnością i wolność z despotyzmem. A wodzami w tych nieskończonych zapasach o wolność człowieczego ducha, były najsilniejsze jednostki ze środowiska swego wyrosłe i sokami jego wykarmione — i takiemi dziełami — Ideami, przejawiające moc swoją, jakie właśnie na tym gruncie wyróść mogły. Im grunt był żyźniejszy, tem silniej zaznaczały się indywidualności — tem goręcej wrzała walka Idei — tem silniejszym wychodził ze zmagania tego, wyzwalający się w człowieku Duch.

Ponieważ jednostka rodziła się ze środowiska, a Idea z jednostki, więc pierwotna walka Idei, przejawiała się jako walka o środowisko, o grunt.

Ci, którzy chcieli ducha człowieka ujarzmić, wysuszali grunt formułkami, utrudniającemi walkę o byt, które nazwali Prawem. I walczyli o nie, bo były one ich ideą, ich dziełem.

A ci, co chcieli wyzwolić ducha w człowieku, stworzyli swoje dzieło, swoją ideę — i nazwali ją sprawiedliwością — i walczyli o nią, uważając ją za środowisko, jedyny teren, na którym walka Idei będzie istotnie dążeniem do wyzwolenia człowieczego Ducha.

Te dwie Idee przewodnie, ujmujące w szyk bojowy walkę o byt, są terenem, na którym do dziś dnia rozgrywa się walka wszelkich przejawów życia człowieka, zarówno o środowisko, grunt, z którego życie wyrasta, jak i o dzieło twórcze człowieka: Ideę — która jest celem życia.

Marya Turzyma.

STUDENTKA.

Maleńka nowelka Turgeniewa: „W narod“. Mówi ona o dziewczynie rosyjskiej „stojącej przed drzwiami na roścież rozwartemi“, usiłującej przez odrzwia te wejść „w czeluść czarną, ziejącą zimnem“, aczkolwiek z po za bram dochodzi ją głos ostrzegający. Głos wstrzymuje ją przedstawieniem cierpień, jakie ją czekają, gdy przejdzie próg. Grozi surowo, napomina, prosi, ostrzega, straszy, a ona smutna lecz nieustraszona, mówi: „wnijdę“. I weszła. Spadła na nią zasłona. „Głupia!“ zaskowyczał głos za nią... „Święta!“ inny odpowiedział...

Maleńka nowela, szkic. A tyle wywołuje wspomnień, taką falę ciepła sprowadza w piersi, taką moc myśli o dawnych minionych czasach.

Przypominają się postacie studentek z „Młodych i starych“ Turgeniewa, z wielu a wielu powieści... Przypominają się postacie działaczek studentek, studentek, które żarte tęsknotą poznania, o głodzie i chłodzie pracowały. Przypominają się te, o których teraz mówi jeno legenda, legenda, mająca jako poparcie uwiarygodniające, cały szereg nazwisk na rozmaitych rozsławionych polach.

Działo się to u nas i gdzieindziej. Na zachodzie i wschodzie. Zwłaszcza na wschodzie tym, gdzie wszelkie poświęcenie wyżej się cenić winno, bo jest ono dowodem olbrzymiej siły ducha, gdzie zerwanie oków, tem silniej-niejszym dowodem siły być winno, bo te okowy wiekowe a nie zeżarte rdzą i bo tych oków tyle, tyle...

Wśród społeczeństwa, w którem przeciw tradycyom zardzewiałych i połamanych zbroic występować poczęła „ideologia“ fabrykacyi perkalików, dziwne a jednak naturalne panowały przekonania. Na przywilejach mocniejszego oparta tradycya przeszłości, trzymała kobietę w okowach. Mówiła jej, iż pozostać ma przy ognisku domowem, którego żarem być powinna, mówiła jej, iż ma być bluszczem obwijającym się wokoło postaci męża i ozdabiającym go, iż ma być umileniem żywota męża i t. p. A że przypadało jej w udziale wychowywanie, raczej hodowanie dzieci swych i męża, między któremi mieli być mężowie przyszłości, więc niektórzy mówili jej ponadto, iż powinna być obywatelką, aby jej synowie przez nią chowani, obywatelami byli... „Jako wilczyca nie porodzi gronostaja“... Ale mówiono tak tylko... W rzeczywistości chowano ją tylko na żonę uległą i niewolnicę ogniska domowego. „A jeśli do czego tęsknić masz, to do męża, którego ozdobą i poddaną będziesz, a jeśli na kogo czekać masz, to na męża, który ci pozwoli wnijść do domu swego“..., mówiono jej. Mówili to jej ci trzymający się przeszłości.

Nowi zaś, teoretycy i ideologowie stanu perkaliki wyrabiającego i zamieniającego szyszaki na gołębniki, inne słowa mieli na ustach. Myśli przez nich wypowiedziane, wypowiadane były zapewne szczerze. Wątpić o tem nie można. A osnowa ich następującą była: kobieta winna być uczestniczką pracy nad tworzeniem bogactw tak materyalnych (perkaliki), jakoteż i umysłowych (obrona uprzywilejowanenego stanowiska perkaliki wyrabiających). Tak mówili ideologowie mieszczaństwa. A mieszczaństwo samo? Jego historyczną, charakterystyczną właściwością było, iż życiem swojem zadawało kłam twierdzeniom swych ideologów. Na polu pracy zarobkowej dało ono przystęp kobietom i wytworzyło proletaryat kobiecy. Lecz nie o to chodzi. Studentki, o których niżej mowa będzie, nie ze sfer pracujących kobiet się wywodziły. One były córkami mieszczaństwa bogatego lub drobnomieszczaństwa proletaryzowanego.

Jakże się z niemi rzecz miała? Czyż im wstęp do nauki był dozwolony, czyż one mogly opuszczać ognisko rodzinne i iść tam, gdzie płonęło ognisko wiedzy, wielkie, promieniejące? Czyż one mogły pójść za impulsem swego serca i brać się do pracy, do której oczy ich płonęły? Nie! Mieszczaństwo bogate pozwalało czytać córkom, uczyć się, ale po za tem kazało im pozostawać w domu, czekać na męża, którego majątek swem wianem powiększyć miały. Ideały mieszczaństwa na polu emancypacyi kobiet nie były mimo wydawania dzieł przeróżnych Johnów Stuartów Millów tak silne, tak żywotne, aby łamały przeszkody stawiane przez rodziców, chcącym się poświęcić naukom, chcącym iść po nią do wolnych siedlisk wiedzy.

A drobnomieszczaństwo? Co do przekonań i poglądów jego na kwestyę kobiecą, to były one jeszcze silniej związane z kuchnią, rondlem i pończochą, aniżeli u burżuazyi. Niewola kobiety była w tych warstwach tem większą, że była ona połączoną z koniecznością ciężkiej pracy i brakiem środków na studya?

A więc? A właściwie, a mimo to?

Mimo to znajdujemy w historyi studentki, które opuszczały cichaczem domy rodzicielskie, lub otwarcie z niemi zerwawszy, szły na studya. Niejedna z nich dała dużo nauce, zapisała się trwale na kartach jej historyi; niejedna z nich brała czynny udział w pracy społecznej, pracy wymagającej dużo poświęcenia, dużo ukochania ludzkości, dużo wytrwałości.

One przeszły w legendę. A legenda o nich w oczach naszych równie jest pokrzepiającą, jak opowiadanie o owych bohaterach i bohaterkach z r. 1871, o owych wszystkich postaciach, o których mówi jeden z największych duchów ludzkości, Marks, iż im nieopiewanym, a lżonym i bezczeszczonym, na czoła groźne i smutne, kłaść wieńce, obowiązkiem i przywilejem jest prasy demokratycznej.

A jakaż to legenda? czemu działa ona na wątpiących w postęp sprawy

kobiecej, na zniechęconych dzisiejszą apatyą studentek, tak, jak działają białe o błękitnych żyłach, miłością przepojone dłonie kobiece, złożone na zmęczoną skroń i zbolałe oczy pracownika, uznojonego trudem dnia całego?

Mówi ona o szarem bagnistem środowisku, okrytem pleśnią codziennych walk, drobnych sporów i spraw, nieprzerzynanem strumieniami szerszych pożądań, lotem i tętętem biegu do celu wielkiego. A w tem środowisku, na którego wrotach widniał napis: „miernością tu wszystko, czoła nad innych nie wynoś, a z zgiętym chodź karkiem naokół jako wół w jarzmie i jeśli masz myśleć o czemś przez cię nie posiadanem a ukochanem, to myśl o omaście do chleba“.

W tem to otoczeniu znajdowały się (znachodziły, powiedziećby właściwie należało) inne jednostki. Z książek przedostawały się do ich umysłów wiadomości o świecie myśli, o trwogach, tęsknotach umysłu ludzkiego, o rozkosznym bolu dążenia do poznania, do świadomości istoty bytu. Historya mówiła im po jakich drogach szła myśl ludzka, mówiła im o ludziach, którym gdy mękami myśl zdobytą wyrwać chciano, mówili: „a jednak się porusza...“ Wieść o tem nieciła niepokój w duszy dziewczęcia z drobnomieszczaństwa lub burżuazyi, wzbudzała pogardę dla tego pełzania, jakiem było życie domowe, budziła niedający się ugasić ani uspokoić wstręt do życia biernej i niewolnej połowicy u boku zwykle niekochanego męża i lęk przed przyszłością, to wzgardzoną kryjącą życie. W duszy ważyły się te nowe stany z nieporadnością życiową, z obawą przed nędzą materyalną, z miłością do rodziców, którzy co prawda zrozumieć nie umieli i nie chcieli tęsknot i wewnętrznego życia córki, lecz jednak rodzicami byli, często umiłowanymi. Jeżeli więc we walce zwycięztwo odniosły czyste nowe uczucia, to z tej walki wychodziła dziewczyna jak stal z ognia hartowna i szła na boje.

Często pobudką była nędza mas. Widzieć ją można było wszędzie, jaskrawą, ohydną, cuchnącą u proletaryatu miejskiego, w kurnych chatach wiejskich, a osłoniętą szychem i blichtrem w domach proletaryzowanego mieszczaństwa i drobnej szlachty, której usuwała się ziemia z pod nóg. Nędza mas budziła litość, żal, gorące ukochanie maluczkich. U istot słabszych kończyło się na żalu, jeremiadach i marnej filantropijce. U silnych chęć zaradzenia złemu, walki z niem. Ponieważ walczyć nie można z rzeczą, której się dokładnie nie zna, ponieważ znaleść nie można lekarstwa nie postawiwszy dobrej dyagnozy i nie znając lekarstw, więc wyrabiało się dążenie do wiedzy, pożądanie i szukanie jej. Tu piętrzyły się trudności. Szkół przygotowujących ani w Galicyi ani w Królestwie, a tembardziej w polskiej Beocyi... w Poznańskiem nie było. Praca przygotowawcza była więc szukaniem czegoś na nieznanych drogach samokształcenia. Wyrabiała samodzielność ducha, przyzwyczajenie do pracy myśli. W żadnej części Polski kobiety dostępu na uniwersytet nie miały. Za granicą nie wszędzie. Studentka jechała

przeważnie do Szwajcaryi, Genewa, Zurych, Berno, to były stacye. Rozpoczynało się borykanie z trudnościami językowemi, żmudna praca naukowa. A życie nie ograniczało się na nauce książkowej. Niejedna ze studentek nie słyszała w kraju o tych wielkich walkach, jakie toczy ludzkość o nowe ideały, o nowe wartości znalezione pracą myśli w odległych krainach przyszłości, a na których zrealizowanie czekają z utęsknieniem masy, starające się jak w opowiadaniu Andrejewa, przebić głowami mur dzielący je od kultury, krwią własnych piersi zwilżyć piasku pustynie pochód utrudniającego w lepszą przyszłość i boleśnie zranioną stopą przejść żwiry ostre i głazy. Tam za granicą dochodzi do studentek pomruk groźny wzbierającej fali i poświst wichrów, zwiastunów walk. W piersiach niejednej więc rozgorzała wielka miłość. Zamieniała się niejednokrotnie w czyn. Czy potrzeba wymieniać szereg nazwisk? Znamy je. A ile pozostało pracownic nieznanych, cichych, jak nieznane są korale poszczególne wyspę tworzące.

Dość było powiedzieć: studentką jestem, aby wiedziano, iż pracownicę ma się przed sobą.

Jednostki, które łamały przeciwieństwa spiętrzone przesądem i interesem, wyrabiały w sobie hart i siłę. Jednostki, które cudzą łamały wolę, a swojej zdobywały miejsce, wyrabiały w sobie wolę niezłomną. To były jednostki bratnie tym męzkim, które z równemi walczyły przeszkodami i których praca posunęła nas o kilka kroków naprzód.

Były to wszystko jednostki. Zapominać o tem nie wolno. Pamiętamy je, rzucały się bowiem w oczy tem, że nie zasłaniała je masa, tem, że torowały pracą swą drogę innym, a pierwszym występem swym wywołały oburzenie i rozpaczne zawodzenie strażników ogniska domowego.

To był pierwszy okres historyi studentek.

* * *

Jak patrzyło na ten pierwszy okres „społeczeństwo"? Organy jego opinii szerzące te poglądy, przeciw którym wystąpić śmiały studentki, uważające za świętość to, co studentki nazywały liczmanem, występowały przeciw prawu i dążeniu kobiet do wyższych studyów nie tyle z argumentami, gdyż artykuły „rozumowane", a cóż dopiero poważniejsze rozprawy, dałyby się policzyć na palcach jednej ręki, lecz z drwinami, ośmieszaniem. Na łamach rozmaitych kuryerów i kuryerków, dzienników i gazet, gońców i t. d. pojawiały się humoreski, dowcipy o krótkich włosach studentek, paleniu papierosów i t. d. Na deskach teatralnych zwalczano „mrzonki" tą samą bronią. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że podobne objawy były śmieszne, lecz zastosować się tu dadzą słowa Orzeszkowej o „entuzyastkach" powiedziane „pod warstwą śmieszności dążenia te pozostawały czem były, bardzo poważnem począt-

kowaniem sprawy wyzwolenia kobiety, bardzo wspaniałomyślnem i szlachetnem zrywaniem się ku wszystkiemu, co sprawiedliwe, dobre, rozumne i piękne".

* * *

A dzisiaj. Przeszkody w wielkim stopniu zniknęły. Coraz większa ilość szkół średnich przygotowuje kobiety do studyów uniwersyteckich. Coraz znaczniejsza ilość uniwersytetów otworzyła swe podwoje przed kobietami, dając im nietylko możność czerpania wiedzy, lecz też zużytkowania jej w sposób praktyczny, dający chleb. Nawet arcyreakcyjna Austrya dopuszcza kobietę do studyów uniwersyteckich. Kobiety nawet niemające zwyczajnych kwalifikacyj mogą słuchać wykładów jako nadzwyczajne słuchaczki. Życie w Krakowie, Lwowie, łatwiejsze jest i tańsze aniżeli za granicą nawet dla kobiet Królestwa. Zachęca ponadto nadzieja zdobycia stanowiska życiowego.

Co widzimy? Masa kobiet zapisuje się na uniwersytet. Spostrzedz je łatwo na korytarzach gmachów uniwersyteckich, zapełniają nieraz tłumnie sale wykładowe.

Stosunek ich do kolegów? Wśród ogółu młodzieży męskiej akademickiej wywołało wstąpienie masowe kobiet na uniwersytet dużo kwasów. Niejeden spotkał się w życiu, gdy uganiał za lekcyami lub „pisarką", z faktem, iż kobieta jako tańsza siła robocza, zajęła jego miejsce. Wobec nędzy materyalnej, w jakiej młodzież nasza żyje, wywołało to oburzenie, zawiść konkurencyjną. Ogół nieodznaczający się wcale zrozumieniem zjawisk społecznych, nie zrozumiał, czy nie chciał zrozumieć, iż tesame co i akademików powody zmuszają kobietę do pracy zarobkowej. Widział konkurentkę, której praca fatalnie zmniejszyć mogła i tak szczupłe dochody akademika. Tu źródło uprzedzeń, jakie spotykały kobietę u progów uniwersyteckich. Otwarcie się dla niej przystępu do rozmaitych posad, dotychczas monopolem mężczyzn będących, powiększyło troskę o przyszłość, zwiększyło niepewność bytu ciężącą jak zmora nad umysłem inteligenta. Nic dziwnego, że przyjmowały się teoryjki o niższości umysłowej kobiet, nie tyle uzasadnione, ile odpowiadające pewnym uczuciom. Kobieta wniosła jednak w suche i nudne godziny wykładowe nieco ożywienia, niemającego nic wspólnego z żywością zapału do nauki... To prawda. Tem zyskała darowanie winy, którą był sam fakt pobytu jej na uniwersytecie. Akademicy mówili z uznaniem o flirtach z koleżankami, konserwatyści kuli z tego argumenty przeciw dopuszczeniu kobiet na uniwersytet. Po pismach poczęły się w coraz większej ilości snuć anegdotki na temat celów, dla których przychodzą słuchaczki na uniwersytet. Poczęły się sypać dowcipy o Warszawiankach urządzających polowania na mężów na uniwersytecie i t. d. Ogólnem było przekonanie, iż nie dla studyów, a celów ubocznych studentki „poświęcają się" wiedzy. Co więcej. Ta sama prasa, która dawnym pracującym i walczącym studentkom wyrzucała

ideowość, zajmowanie się sprawami „nieswojemi“, mrzonkami i t. d., ma czelność wyrzucać im płytkość i te wszelkie zalety, które stylem biblijnym mówiąc prasy, są...

Prawda, szczera prawda. Masa studentek jest, powiedzmy, by gromów na się nie ściągnąć, niezbyt głęboką, pod względem społecznym indyferentną, pod względem zrozumienia swych zadań nieświadomą. Przyznajemy słuszność tych zarzutów tembardziej, iż pragnęlibyśmy, by było inaczej. Pragnęlibyśmy, by inaczej było, bo wiadomem nam jest, że jest źle. Na wiecu akademickim zwołanym w sprawie wstrętów przez władze uniwersyteckie nadzwyczajnym słuchaczkom czynionych — przemawiali sami mężczyźni. Na kpiny niektórych akademików pod adresem słuchaczek nie odpowiedziała żadna kobieta. Lecz mniejsza o to! To może tylko brak odwagi wystąpienia publicznego. Ważniejszą o wiele rzeczą jest, że w istocie ogół studentek, obecnie dość liczny, nie odznacza się temi zaletami, jakie prasa burżuazyjna wyrzucała dawnym studentkom z lat ośmdziesiątych i dziewięćdziesiątych.

Lecz jaki powód tego, zaznaczyliśmy już. Obecnie studya uniwersyteckie nie są tem czem niegdyś. Dawniej szła na uniwersytet ta tylko kobieta, która rzeczywiście dusiła się w stosunkach domowych. Szły tylko wybitne jednostki. Obecnie idzie masa chcąca zdobyć chleb, masa, chcąca znaleść równoważnik zamążpójścia, obecnie dość często niestającego się udziałem kobiet ze sfer średniozamożnych. I rzecz naturalna. Ta masa wnosi na uniwersytet cechy masy. A więc traktowanie nauki jako celu prowadzącego do 120 złr. (ideał!) miesięcznie w przyszłości, nie zajmowanie się sprawami społecznemi, kołtuństwo, frazesowiczostwo, płytkość, flirt...

Ale przypatrzmy się odwrotnej stronie medalu.

Czy tylko o g ó ł k o b i e c y na uniwersytecie jest taki? Czy te wszystkie wymienione cechy są znamionami kobiecości?... zapytajmy się również czy „społeczeństwo“ ma prawo na nie się oburzać, gdy zachodzą u osobników żeńskich lub męskich.

Wejdźmy do stowarzyszeń akademickich, na uniwersytet, do stowarzyszeń oświatowych.

Na uniwersytecie zobaczymy olbrzymią masę (trzy czwarte całości najmniej!) twarzy, na których, eufemistycznie mówiąc, kultura nie wycisnęła wcale swego piętna...

Masa ta uczy się jako tako, gdy przyjdzie czas egzaminów. Na wykładach, o ile na nie chodzi, przysłuchuje się apatycznie wykładom, których treść utrwala w pamięci ze skryptów. Po za swoją zawodową pracą nie stara się taki akademik poznać świata. Inne nauki nie zajmują go wcale. Po za skryptami i kompilacyami ze swego działu, przegląda jakiś familienblacik, czyta najnowszą powieść Sienkiewicza, przeglądnie dzienniki (i to nie zawsze). Jeżeli ma pieniądze, chodzi na piwo i stara się o posiadanie pięknych spodni

w kratkę i czeka na upragnioną posadę. W chwilach wolnych od zajęć zawraca głowy Józiom i Franiom z naprzeciwka i kręci się po A-B. Ponadto chodzi na tańce, zabawy; od czasu, gdy zjawiły się na uniwersytecie koleżanki równe mu usposobieniem, lubi przebywać w ich towarzystwie.

Praca społeczna...

Ogół jest jej biernym świadkiem. Na wiecu, który go ma z jaką społeczeństwa dotyczącą sprawą poznać, przysłuchuje się walkom garstki, a jeżeli jest „bydlęciem politycznem“, jak mawiał nieboszczyk Arystoteles, czyli jeżeli należy do jakiego stowarzyszenia, to tworzy na znak dany przez wodzirejów chór, id est: ryczy, tupie lub bije brawa. W warsztatach pracy społecznej go niema. Ktoby przeszedł się po towarzystwach oświatowych, zobaczyłby garstkę czynną, pracującą. Ogół, to statyści. W stowarzyszeniach robotniczych nie widać nawet akademików, którzy na wiecach postępowe głoszą zdania.

O tym stanie rzeczy mówią pisma młodzieży głośno. Zdanie o unarodowieniu i uspołecznieniu młodzieży jest tylko frazesem. Tak wygląda ogół młodzieży męskiej. Obraz równie smutny jak ten, jaki przedstawiają studentki.

Czyja wina? Kto ma się prawo na to oburzać? Społeczeństwo? Nie!

Prasa tego „społeczeństwa“? Również nie!

„Społeczeństwo“ to, którego synowie i córki chodzą na uniwersytet, uczy swe dzieci już od najwcześniejszej młodości, iż celem życia jest karyera. Czy to urzędnicza, jak w Galicyi, czy też inna, wszystko jedno. „Karyera“ słyszy chłopiec i dziewczyna w domu. O karyerze, posadzie, zamążpójściu czytają, słyszą w szkole; gdy spoglądną w życie, widzą ten bieg do karyery, ręce wyciągnięte ku posadzie. Więc dążą. A że przekonania i praca społeczna w dążeniu tem są nie pomocą lecz przeszkodą, balastem, a nawet kamieniem u nogi, więc ich nie mają.

Prasa narzeka na to, mówi o ideałach, sprawach narodowych! Młodzież wie, iż to humbug. Ojcowie, którzy śpiewali na obchodach narodowych rozmaite mazurki narodowe, mówili im od dzieciństwa: zdala od wszelkich mrzonek! należy być praktycznym!

To samo mówiła im prasa w dnie świąteczne młócąca frazesy innego rodzaju.

Zresztą tak łatwo przysłużyć się społeczeństwu! Wieczorek patryotyczny, loterya na ubogie stare panny, odgrażanie się Niemcom Grunwaldem, nazywanie Rusinów opryszkami, to wszystko wyrobi markę pracownika na polu społecznem i t. d.

A jeżeli kiedy panicz lub panienka powiedzą: „lud“, „niższe stany“, lub zadeklamują: „zbawienie leży pod siermięgą“, ho! ho!

Taka młodzież jak starzy. Tak ż e ń s k a jak i m ę s k a.

Czy wszystka? Nic!

Wśród akademików i słuchaczek znajdują się jednostki inne. — Są one i u nas w Galicyi, są na zagranicznych uniwersytetach. Widzieć je można tu i owdzie przy pracy społecznej, słyszeć można niejednokrotnie o nich rzeczy, przypominające owe jasne postacie z legendy, która życia przeszłego jest odblaskiem. Ale praca ich jeszcze nie zszeregowana, niezogniskowana, więc niewidoczna. Pragnieniem naszem byłoby, aby tem ogniskiem i odzwierciedleniem było „Nowe Słowo", a zogniskować się trzebaby szybko, bo pracy wiele, by nie leżała odłogiem niwa na pracownice czekająca.

Karol Radek.

POSZANOWANIE DZIECKA.

Od bardzo dawna ludzkość, tak starannie i gruntownie tłumiła wszelki świeży myśli powiew, co każde nowe pokolenie od poprzedniego miał wyróżniać, tak bardzo na wszelki sposób konserwowała i hodowała rdzenne duchowe własności naszych przodków, że naturalnym rzeczy porządkiem, przestarzałe, odwieczne tendencye na długi czas niezmiennemi pozostać musiały. W atmosferze wolności, którą sprowadza koniecznie walka o byt, w zetknięciu z realnem życiem, pierwotne pojęcia muszą się przekształcać; tam one albo przystosowują się do ducha czasu, albo giną bez litości. W życiu jednak prywatnem, w obrębie rodziny, żyje, w skutek przeważającego wpływu konserwatyzmu kobiecego, całe mnóstwo troskliwie przechowywanych gruzów, któreby bez owego odosobnienia rodziny w żaden sposób tak długo nie mogły były przetrwać.

Istnieje wśród pierwotnych ludów obyczaj — naigrawania się z cudzoziemca. Dlatego, że język i zachowanie jego różnem jest od mowy i zwyczajów tubylca, posiada on w oczach tegoż mniejszą naturalnie wartość, uważany jest, za upośledzonego a wszelkie usiłowania do zasymilowania się niesłychaną wywołują wesołość.

Takie pojęcie powszechnem jest i dziś jeszcze u dzieci — przeżywają one bowiem przecież indywidualnie wszystkie stopnie kultury ludzkiego rodu. Wśród ludzi jednak dorosłych, inteligentnych i dobrze wychowanych, słusznie uchodzi taki zwyczaj za barbarzyński. Wedle nich należą się cudzoziemcowi szacunek i względy, dlatego właśnie, że jest obcym, a nic nie jest w oczach tych ludzi dzikszem, niż wyśmiewanie cudzoziemca za jego usiłowania, przyswojenia sobie mowy naszej i naszych obyczajów.

O, jak daleką jest ta na wielką skalę uprawiana uprzejmość świata naszego, od owej barbarzyńskiej dzikości, z jaką w życiu domowem odnosimy się do największego naszego przybysza — do dziecka! Przybywa ono do nas w nieświadomości zupełnej naszych metod życiowych, zarówno rozsądnych jak i bezrozumnych.

Uczyć się ono musi dopiero stąpać i krok każdy stawiać po owej ścieżynie, którą sami dla niego wydeptaliśmy. A jednak, jak bardzo niestety mało umieliśmy mu ją przygotować; co najwyżej środeczków fizycznych parę, mniej więcej: krzesełko wysokie i kołyskę jakąś i flaszek kilka mleka, które matczyną nieudolność wynagrodzić mają. Ale drobne są nasze postępy w odnajdywaniu owych duchowych środków, coby ułatwić mogły roztropne zrozumienie trudności naturalnych dziecięcego pojmowania.

Z spokojem, z zdziwieniem, ale bez lęku wstępuje mały ów przybysz w rodzinne koło. Nie ma w nim ani poczucia perspektywy, ani odważonych, uświadomionych odczuwań, wobec zjawisk, które dookoła siebie spostrzega. Nie zna ani wstydu wobec

prawd realnego życia, ani szacunku dla obłudy konwencyonalnej. Z poważnem i żywem zajęciem przystępuje do tajemniczej owej gry co się życiem zowie.

Jakiemże więc jest zachowanie rodziny w obec tego nowego przybysza? Jak odnosi się inteligentny dorosły człowiek do tego obcego w swoim własnym domu? — Bezustannie wyśmiewa go, najwyższe okazując mu lekceważonie. Traktuje go, nie powiem „nieprzyjaźnie“ — to znaczy nie darzy go ani gniewem swoim, ani razami, ani też nie uchyla mu tego, co prawnie mu się należy, — ale traktuje go tak, jak gdyby rola dziecka była właściwie igraszką. Dziecko zdrowe jest, jak jagnię na wiosnę wesołe, ale niezmącona ta radość nic nie ma z śmiesznością wspólnego. Kto jasnookiego dziecka nie widział, kiedy nagle gorącym oblewajac się rumieńcem na skutek ostrego, niedelikatnego śmiechu starszych, z okazyi czynności, która nie była wcale konieczną, a nową tylko i dla dzieci niezwykłą?

Nasuwamy czapkę dziadka na piękne boba loki i do rozpuku śmiejemy się z jego wyglądu; nałóżmy też kiedy czepeczek boba, babce na głowę i natrząsajmy się z wyglądu poważnej matrony. Dlaczegoż to śmiać się mamy raczej kosztem dziecka, niż starszej damy? Czemu to tak zupełnie brak nam szacunku dla dziecka.

Każde dziecko nauczyć się musi języka, w który się wradza; oczywista, że i błędy popełniać musi — tembardziej, że nie uczymy go mowy naszej, wedle rozsądnego jakiegoś systemu, ale pozwalamy mu niejako w nią wskakiwać, i z dnia na dzień przyswajać sobie z niej tyle, ile samo potrafi.

Gdyby tak dorosły cudzoziemiec języka naszego się uczył, a my usiłowania jego, nagradzalibyśmy hucznym śmiechem, uchodzilibyśmy w własnych oczach za nadzwyczaj nietaktownych. A cobyśmy sami o sobie powiedzieli, gdybyśmy słowa, lub zdania całe bez sensu w usta mu wkładali, jedynie w tym celu do nowych błędów go pobudzając, by więcej jeszcze śmiać się z niego można; ba, gdybyśmy tak w obec gości, dla ich zabawienia, do powtarzania tychże samych błędów go nakłaniali? A jednak, czyż to nie jest ogólnie przyjętą zagadką domową, jak długo dziecko małe, może służyć starszym za błazna do zabawy?

Omyłki dziecka, nic absolutnie nie mają w sobie komicznego, o tem i ci wiedzieć powinni, co nieokrzesani są na tyle — by w ogóle dziecko wyśmiewać. Kiedy dziecko, pierwsze stawiając kroki się pośliznie, to napewno nic w tem komicznego. Dziecko i upaść musi — to naturalne i wcale nie śmieszne. Taksamo i błędy popełniać ono musi, gdy opanować mu trzeba wszystkie owe trudności, na które napotyka. A błędy te, to nie powód do śmiechu...

Byłam niedawno w ogrodzie przyjaciółki i widziałam tam po raz pierwszy jej córkę, rosłą piękną dziewczynę, lat dziewiętnastu, lub dwudziestu. Ciotka jej, która mi towarzyszyła, strofującym zawołała tonem: „Podejdźże Lileczku ku tej pani!“ Przykro zrobiło się młodemu dziewczęciu, niechętnym spojrzało przed siebie wzrokiem, zakłopotane zwróciło się ku swej wychowawczyni i z cicha słów parę z nią zamieniło. A ciotka, mocna w garści pani, chwyciła dziewczynę młodą za plecy, podniosła i rzuciła to młode, rumieniące, broniące się i protestujące stworzenie w moje objęcia, na to, by je — „przedstawić“. Oczywiście obraziła się dziewczyna gwałtownie i niechęcią swą odtąd mnie darzy. (Opowiadanie to — prawdziwem jest, z tą zmianą, że córka domu, nie więcej, niż lat półtrzecia liczyła).

Dlaczegoż to, przez rozum, takt, wychowanie, sprawiedliwość, czemu w imię każdego szlachetniejszego poczucia, tak obraźliwie traktuje się dziewczynkę niespełna trzyletnią. Jakiemże jest stanowisko obrażającej i czem usprawiedliwić jej brutalne zachowanie? — Chyba namacalnym argumentem jej cielesnej przewagi i przemocy? ależ to niepodobne, boć przecież nie gwałcimy bez przyczyny uczuć wszystkich tych ludzi, co młodsi są od nas i słabsi. Zdrowy, sześć stóp długi siedemdziesięcioletni pan nie odnosi się wszakże w ten sposób do niskiego człowieka, lat mniej więcej trzydziestu, lub czterdziestu. A i pokrewieństwo ostatecznie nie będzie powodem, bo takie zachowanie nie jest w zwyczaju dorosłych, choćby najbliżej spokrewionych. Sprawa

tem jedynie się tłumaczy, że ofiarą jest dziecko, a dziecko nie posiada praw osobistych, które uszanować bylibyśmy zobowiązani.

Grzeczne dziecko uważanem bywa za zabawkę wyśmienitą, z którą, lub którą ubawić się można, albo też za maszynę, którą w ruch się wprawia, aby ją potem módz wyśmiać. A jednak istnieje inny jeszcze rodzaj żartobliwej zabawy z małemi dziećmi, — tak mniej więcej, jak kot się bawi z swemi małemi, — ale taka zabawa niekoniecznie rozmija się z szacunkiem. Boć i dorośli ludzie bawią się z sobą i śmieją, a jednak wyśmiewać się wzajemnie nie muszą. Tak samo i my moglibyśmy śmiać się z naszemi dziećmi, nawet więcej niż dotychczas, a jednak niekoniecznie je wyśmiewać.

Dzieci o wiele bardziej na drwiny są wrażliwe, niż dorośli. Nie mają one na pociechę swą filozofii; i w tem właśnie owa wstrętna niesprawiedliwość, że skoro wskutek braku niewyrobionego jeszcze opanowywania się własnego w złość wpadają, i tą samą bronią swoim dręczycielom odpłacić się pragną, — wtedy rozumny dorosły człowiek, karze je za naruszenie poszanowania w obec starszych. A komuż to o szacunek dla dzieci upomnieć się wypadnie?

Częste bardzo są skargi rodziców na „bezczelność“ dzieci: „Jak śmiesz ty t a k do mnie przemawiać?“ woła obrażony autorytet. A przecież owo t a k, to tylko ten sam wyraz, który chwilę przedtem matka dziecku rzuciła.

„Zamknij swoją buzię“, woła matka, — „a ty swoją“, odpowiada dziecko i natychmiast za swą bezczelność klapsy bierze. „Nauczę ja cię porządnych odpowiedzi, mówi rozgniewana matka“, i — uczy.

Bawi nas to niepomiernie, kiedy dziecko przy pierwszych swoich próbach mówienia, w całej swej niewinności ordynarnych używa wyrazów, jakich przypadkiem zasłyszało, albo jakich sami go nawet nauczyliśmy, by módz ubawić się, owym małym niewinnym bluźniercą. Gdy to samo dziecko, o rok potem starsze — te same powtórzy słowa, dowie się w sposób niezwykle bolesny, że dziecku nie wolno tak przemawiać do rodziców, jak rodzice do dziecka przemawiają. „Dlaczego to“? pyta zdziwiony malec, a my nie mamy nic na odpowiedź, chyba owo ogólne przekonanie, że dla dzieci niema szacunku.

Zapytajcie sumiennych ojców, czy matki, dlaczego to nowe ludzkie stworzenie, co do którego wiarę symulują, że od Boga im zesłane, które jeszcze grzechem żadnym nie splamione, ani zawodem życiowym nie złamane, pogodne siłą swej niewinności, a przecież poważne w obec wszystkiego, na co zamyślone jego oczęta uroczyście patrzą, — dlaczegoż tedy, cudowna ta cząstka ludzkości traktowaną być musi, jak błazen nadworny! I co nam na to rodzice ci odpowiedzą?

Z bijologicznego punktu widzenia, który każdą nową generacyę uważa za przednią placówkę rozwijającej się ludzkości, najmniej chyba znajdziemy usprawiedliwienia dla tego rodzaju lekceważącego traktowania. W dziecku żyje, jakby nagromadzony postęp stuleci całych, i od sposobu życia dziecka zależy przyspieszenie, lub też opóźnienie wszelkiego dalszego postępu.

Owo głębokie poszanowanie, dla ostatniego i najdoskonalszego okazu gatunku — zupełnie jest niezależnem od przyrodzonej miłości rodziców do ich potomstwa. Każde dziecko winno w rozwoju rasy, reprezentować ów wyższy szczebel, a wszyscy rodzice winni to uznawać z należnem uszanowaniem. Czas jakiś wyżsi są rodzice: u nich jest wiedza, doświadczenie i władza, i owo poczucie, że przyroda ich na to wybrała, by tak długo służyli nowemu pokoleniu, aż ono na miejsce ich wstąpi. Dużo na to czasu potrzeba było, aż szlachetne to poczucie wyrosło szczebel za szczeblem z owych prymitywnych odczuwań, przejściowych stadyów ludzkiego rozwoju; ale oto jest właśnie to rozsądne, pełne uświadomienia poczucie, w które człowiek przekształcił cudowne, przyrodnicze prawo miłości macierzyńskiej.

U zwierzęcia potężna ta siła, znajduje swój wyraz jedynie w instynkcie. Ale jako instynkt jest ona żywotną, a zwierzę spełnia swe zadanie, o dobro swych ma-

łych się troszcząc i o nic więcej nie pytając. Na niższych stopniach kultury, żyje i w człowieku jeszcze ten zwierzęcy instynkt w znacznym stopniu, ale mniej, lub więcej zabarwiony już przeczuciem owej prawdziwej wielkości, co mieści się w zadaniach rodziców wobec dzieci. Ale i tak bardzo egoistycznem bywało to poczucie rodzicielstwa ludzkiego, że pamiętne jeszcze są czasy, kiedy rodzice własne swe dzieci, jako niewolników dla swojej sprzedawali korzyści, a i teraz jeszcze nie rzadko do pracy zarobkowej, zbyt je wcześnie napędzają; znane też są narody, wśród których ojcowie radziby mieć synów, jedynie dla owych tradycyjnych korzyści, które przez syna na ojca jakoby spadają.

A to są uczucia, które nie budzą szacunku dla młodzieży.

Na ogół u matki nie znajdujemy egoizmu w takiem rozumieniu. Błądzi ona raczej, zbyt „osobiście" dziecko traktując; a i w tem także, że sama zanadto jeszcze zależną jest od „instynktu", a za mało o istotę rzeczy się troszczy. Ona kocha i służy bez granic, ale rozważa za mało. Wydobywa z siebie najgłębsze przywiązanie, stara się o dziecko i wychowuje je, o ile to w jej zakresie możliwe; staranność jej i praca jest niestrudzona. By jednak owe czarujące zawiniątko batystu, które tak pięknie umiała ustroić, uszanować było trzeba — to jej jeszcze przez myśl nie przeszło. Spojrzcie na grupę niewiast, co dziecko na pokaz wystawione oglądają. Najwięcej podziwu budzą — jego sukienki, a potem jeszcze paluszki u rączek i nóżek. Obcałowywuje się je i pieści i zabawia z nim; a mamusia dumna jest i rada. Kiedy przedmiot taki wystawiony dorośnie i zmądrzeje — nienawidzi scen podobnych. Dobrze my sami pamiętamy owe męczarnie, któreśmy przebywali, kiedy wystrojonych podawano nas na wizytach z rąk do rąk, do ogólnego oglądania i podziwu. Czyżby dorośli nie mogli, z zachowaniem tego samego taktu, z dzieckiem się zaznajamiać, jaki okazują sobie wzajem? Naturalność, szczerość i szacunek oto wszystko, czego domaga się dziecko, a czego mu się właśnie odmawia. Ile razy z dziećmi mówimy, przybieramy szczególnego rodzaju afektowane współczucie, rzec można odgrywamy komedyę. A mimo to wszystko, że zainteresowanie symulujemy, nie znamy właściwej względności dla poglądów dziecinnych, ani też nie odpowiadamy zaufaniu, które one w nas pokładają. Bezsprzecznie najżyczliwsi dziecku ludzie, nieraz sami rodzice, lub wychowawcy, powtarzają nierzadko w obec obcych uwagi, które małe usteczka tajemniczo im w ucho wyszeptały; jakkolwiek błagalne ich rączęta obejmujące szyje o zachowanie tajemnicy proszą. Bez skrupułów powtarzają sądy dziecka, właśnie w obec osób, do których uwagi się odnoszą; a zdradzone i bezradne stworzenie, wije się z zakłopotania i oburzenia.

Gdybyśmy tak wobec dorosłego przyjaciela postąpili, zerwanie stosunków byłoby nieuniknione. Niegodziwej takiej zdrady nie przebaczyłby żaden mężczyzna, żadna kobieta. Ale dziecko — ono połknąć musi każdą obrazę, bo przynależy do klasy, dla której niema szacunku. Czyż nie byłoby może na czasie, abstrahować na chwilę od pojęcia zarobkowania, i poważnie się zastanowić, czyby nie uznać sytuacyi dziecka, jako przynależności do pewnej klasy? Stan dziecka, nie jest ani patologicznym stanem, ani okresem karnej pracy przymusowej, ani wreszcie żywym przedmiotem dla żartu. Dziecko jest poprostu stworzeniem ludzkiem, i ma prawo domagania się, by jako takie było traktowane. Ciału ludzkiemu trzech stóp wysokości, należy się tyleż szacunku, co sześciu stopom tegoż samego ciała. A jednak ciało dziecka traktuje się z niesłychaną poufałością. Skubiemy, usuwamy i popychamy dzieci, rwiemy je za włosy i uszy, klepiemy je po głowie, chwytamy pod brodę, trzymamy na kolanach; nie pytając, czy im to przyjemnem, czy im to wstrętnem się wydaje? Dlaczegóż to, wobec osoby dziecka, pozwalamy sobie na poufałość, na którą w obec dorosłego, choćby najbliższego przyjaciela w żaden sposób byśmy pozwolić sobie nie mogli?

„Ależ dzieci nic sobie z tego nie robią" ktoś może odpowie. Ale owszem dzieci robią sobie z tego wiele. I to nawet ogromnie wiele. Nienawidzą one całe życie pewnych osób, które w czasie ich dzieciństwa, w niemiły dla nich sposób ich ciała do-

tykały. Z pomiętą sukienką, rozburzonym włosem i pełnym gniewu wyrazem twarzy, zrywają się one z kolan tej wielkiej pani, lub owego barczystego pana, który je jedną ręką przytrzymując, drugą rozmaicie atakują; zrywają się i zmykają z bezradną nieraz wściekłością. Rozumie się, że i „przyzwyczajają się“ one do tego z czasem, podobnie jak i węgorze do tracenia swej skóry się przyzwyczajają. Ale przez takie przyzwyczajanie dzieci do brutalnego z niemi postępowania, niszczy się niemało w naturze ludzkiej z najdelikatniejszych i najszlachetniejszych pierwiastków.

Zaniedbany tu bowiem obszar natury ludzkiej, kawał gruntu, o którego uprawie myśmy zapomnieli. To źródło sił, które nas dotąd cywilizowały, i nadal jeszcze działać będzie, jeśli oddziaływać mu pozwolimy. Trzeba nam tylko uprzystępnić mu zmysły nasze; trzeba nam rozszerzyć zakres naszego działania, aby ucywilizować się i w owych naszych najbardziej domowych, rodzinnych stosunkach. Uznać nam trzeba obywatelskość dziecka i jego objektywne człowieczeństwo, a nie same tylko względne jego w obec nas samych właściwości. Poczucie własnej siły i możność opanowania się zrodzona z władzy i wolności, nauczyć nas powinny były poszanowania i dla dziecka, choćby właśnie przez wzgląd na jego bezradność. Owa zasada, co nawet pauprowi szkolnemu na przeciwnika w bójce ulicznej wybierać każe „równie wielkiego“ towarzysza, a która zabrania torturować uwięzionego, albo rozbrojonego zabijać, albo słabszego obrażać, ona to w nasze odnoszenie się do dziecka, więcej poczucia szlachetności kłaść była winna. Dlatego, że o tyle ono słabsze, niż my sami, siła nasza winna je uszanować; a dlatego, że zrodzone jest na to, by kulturą nas prześcignąć, mądrość nasza potęgi jego dopatrzeć się winna.

Karolina Terkius-Gillmann.

KRONIKA.

Dola manipulantek pocztowych. Przez cały szereg lat proszą, dopominają się, szlą delegacye do parlamentu, do ministerstwa o podwyższenie pensyi, ale nadaremnie. Petycye ich spoczywają bez załatwienia. — Drożyzna rośnie z każdym rokiem, pensya została ta sama t. j. pierwsze 5 lat 60 koron miesięcznie, następnie po 10 koron kwadrynium co 4 lata i z tego musi się jeszcze opłacać na emeryturę, którą po 40 latach, (jeżeli która w tych warunkach dożyje,) dostaje się w kwocie 1000 koron rocznie. Za tę nędzną płacę wymaga się 7 do 8 godzin pracy męczącej niesłychanie denerwującej (szczególnie przy telefonie); obecnie i nocą służbę pełnią. I po takiej wyczerpującej pracy w urzędzie, zamiast spoczynku, jakiej takiej wygody lub przyjemności, czeka ich w domu znowu praca, gdyż z tej pensyi trudno wyżyć, więc zarabia się lekcyami, szyciem, lub przepisywaniem, chyba, że która ma pomoc od rodziny, ale to są wyjątki; zresztą jakiem prawem można żądać pomocy od rodziny nie dając wzajem nic, gdyż ich praca należy do rządu. W Niemczech piewsza płaca wynosi 90 marek, w Austryi do tej płacy dochodzi się dopiero po 15 latach. Asystent wstępujący do poczty ma więcej, a praca manipulantek jest zupełnie ta sama, którą pełnią urzędnicy, odpowiedzialność również ta sama, tylko praw żadnych; urlop dostaje się tylko w razie choroby. Wprawdzie mają prawo żądać rocznie 14 dni urlopu, ale jeżeli warunki służbowe na to pozwolą. Niestety rzadko kiedy te warunki pozwalają; gdyż system oszczędnościowy w personalu jest do najwyższego stopnia posunięty i zaledwie kilka może korzystać z tego dobrodziejstwa. Reszta musi pracować bez wytchnienia, bez odpoczynku, rok cały, a raczej lat kilka, niektóre i po 10 lat nie dostają urlopu. A święta nie są uwzględniane. Dla porównania przytaczam że najniższej kategoryi służący (woźny) który zaledwie podpisać się umie dostaje 800 koron rocznie, dodatek aktywalny, i uniform kompletny. Poprawienie doli tych

nieszczęśliwych leży w rękach posłów. Tego roku uchwalono 14 milionów na cele militarne, dla uregulowania pensyi manipulantek w całej Austryi nie potrzeba nawet całego miliona i na to tyle lat trzeba czekać!

Stan Idaho wysłał do parlamentu związkowego Stanów Zjednoczonych dwie kobiety i sześciu mężczyzn.

Na przypuszczenie do wypełniania praktyki adwokackiej kobiet, które zdały egzamin adwokacki nie zgodził się wbrew uchwale Izby posłów senat włoski. Jest to jeszcze jeden dowód reakcyjności wszelkich ciał prawodawczych, przywilejom zawdzięczających swe istnienie.

Inspektorki przemysłowe w Saksonii. Od dłuższego czasu podnoszą we wszystkich państwach organizacye robotnicze żądanie wprowadzenia inspektorek dla robotnic. Robotnica przedstawi bowiem chętniej niedomagania fabryczne kobiecie inspektorce, która też lepiej aniżeli mężczyzna, potrafi wybadać i poznać zło dolegające robotnicom.

Obecnie czyni zadość temu żądaniu rząd saski, wprowadzajac rozporządzeniem ministeryum spraw wewnętrznych od 1 lipca b. r. inspektorkę przemysłową dla każdego okręgu. Obowiązkiem tych inspektorek jest przestrzeganie, by przedsiębiorcy nie przekraczali ustawy o pracy dzieci (przed rokiem uchwalonej) i pilnowanie zakładów zatrudniających kobiety; te jednak, nie mając wpływu na zarządzenia inspektorów, nie cieszyły się zaufaniem robotnic.

Odbyty w czerwcu w Wiedniu Zjazd Kas chorych powziął rezolucyę wzywającą rząd do zakazu pracy przemysłowej kobiet przez sześć tygodni po połogu, oraz do wypłacania położnicom przez ten czas odpowiedniej zapomogi.

Signum temporis. Pisma peryodyczne coraz częściej zamieszczają prace, dotyczące ruchu kobiecego. Krakowska „Krytyka“ z września b. r. podkreśla ten fakt, nie my, i powiada w swym „Przeglądzie prasy“ (str. 205.): „Bardzo znamiennem dla „Przeglądu tygodniowego“ jest jego wytrwałe i sumienne interesowanie się kwestyą kobiecą. Ograniczenia prawne i obyczajowe są pozostałością ustroju, wspartego na przywilejach z urodzenia, ustroju — zwalonego przez mieszczaństwo. Z tą resztką dawnego systemu liberalizm walczyć może z całym swym dawnym zapałem i bez zmiany haseł“. Powiada sprawozdawca, że ruch kobiecy nie może być klasowy, ponieważ odbywa się w imię upośledzonych, a upośledzone są kobiety wszystkich klas. — Kronikarz „Nowego Słowa“ dwojakiego rodzaju uwagi czuje pod swem piórem. Notuje sam fakt z przyjemnością, dziwi się jednak, że na 18 stronicach druku, poświęconych w „Krytyce“ przeglądowi prasy nie znajduje ani słowa o właściwem „źródle“ ruchu kobiecego u nas, o piśmie, w którem kronikę trzyma, a które się wyłącznie temi sprawami zajmuje, właśnie o „Nowem Słowie“. Przerywa jednak uwagi i czyta dalej: „I przyznać trzeba, że jeżeli nie „damy“, to w każdym razie „panie“ ze sfer średnich, stale mięszających się z proletaryatem umysłowym...“ Dość. Kronikarz nie rozumie. Słyszał wprawdzie o inteligentnym proletaryacie i wie, co to takiego, lecz „proletaryat umysłowy“ trąci średniowieczyzną zakapturzoną. W średnich wiekach mówiono po prostu „ubodzy duchem“. Po co więc sprawozdawca używa słów pozornie nowych, a rzecz kryjących starą? Ruchy społeczne i obyczajowe stwarzają z biegiem czasu własny język i tym w znacznej mierze odróżniają się od czasów dawnych. Wyrazy nowe urabiają się same i przez to, że powstają, świadczą o zasadniczych różnicach między tem, co było w dążeniach dawnych, a tem, co jest nowego w dążeniach obecnych. To wyrażenie „proletaryat umysłowy“ pragnie kronikarz traktować raczej podejrzliwie. Tembardziej, że w poprzednich zdaniach natknął się na wyraz liberalizm. Więc ten staruszek jeszcze żyje? Jeżeli dla dzisiejszego ruchu kobiecego wystarcza liberalizm, jak chce sprawozdawca „Krytyki“, to w takim razie ten ruch kobiecy nie wiele wart, a nawet niema go wcale. Tymczasem ruch kobiecy jest, a w takim razie liberalizm nie wystarcza. Ruch kobiecy był zawsze od samego po-

czątku i jest rewolucyjny, przypięcie mu etykiety liberalizmu cofa go o całe lat 50 lub 60. To było co innego. A prócz tego liberalizm jest i był zawsze największym wrogiem wolności, był zawsze hasłem wszystkich niemal rządów.

Jest prawdziwie signum temporis to określanie spraw zupełnie nowych i świeżych zwietrzałą nazwą, która do niczego nie obowiązuje, a mieści w sobie cały system, całą taktykę polityczną, raczej dyplomatyczną. Służy bowiem taka nazwa do ukołysania obawy burżuazyi, dla której zwykły liberalizm nie przedstawia nic niebezpiecznego. Lecz nam tej dyplomacyi nie trzeba, ani tego zjednywania ludzi zapomocą zręcznego ukrywania właściwej istoty rzeczy. To właśnie było cechą czasów liberalizmu, a te czasy, niebiosom chwała, mamy za sobą. Kronikarz „Nowego Słowa“ zbyt może zmyślnie połączył „proletaryat umysłowy“ (czyli inaczej ubóstwo ducha) z „liberalizmem“, lecz kto nie widzi, że to sprawy blizkie i pokrewne? Kronikarz „Nowego Słowa“ chciał powiedzieć, że sprawozdawcy „Krytyki“ nie przystoi wydawać sądów lekkomyślnych w sprawach, które go nie interesują, oraz nie przystoi mu podciągać rzeczy nowej pod nazwę starą i w ten sposób mylne szerzyć pojęcia o sprawie. Takie określanie należy do ludzi, którzy ruch stworzyli. Streszczając zaś wyrazy cudze, powinien je sprawozdawca streszczać dobrze. Jeżeli zaś z „Przeglądu tygodniowego“ pochodzi ten liberalizm, tem gorzej. Po „Przeglądzie“ można było spodziewać się czego innego. — Kronikarzowi „Nowego Słowa“ na ostatku zresztą zdaje się, że zbyt wiele wyczytał w słowach sprawozdawcy „Krytyki“. Sprawozdawca tak nie myślał. Wierzę. W każdym razie to pewna, że t y l e nie myślał.


